

ZIEMIA PODHALANCKA

MIESIĘCZNIK

ul. Tatrzańskie
ZAKOPANE.

Rok II.

Maj 1937 r.

Nr. 5



Podhalanie składają hold w rocznicę zgonu Wodza Narodu w Belwederze. W środku wójt z Cichego, Mulica.

Piłsudski na Podhalu

Dnia 12 bm. cały kraj obchodził uroczyste drugą rocznicę zgonu Wodza Narodu, Marszałka Józefa Piłsudskiego. Uroczyste obchody odbyły się i na Podhalu, do którego Józef Piłsudski odnosił się z dużym sentymentem. Sam temu daje wyraz w książce p. t. „Moje pierwsze boje”, z której poniżej zamieszczamy kilka wyjątków odnoszących się do Podhala i Podhalan.

Wielu dziś jeszcze pamięta, jak to było. W początkach zimy 1914 roku wojska rosyjskie płynęły falą olbrzymią ku Tatrom. Komendant Piłsudski z garstką zapaleńców przygotowywał się do odparcia tej masy, kwatrując po różnych miejscowościach powiatów: limanowskiego i sądeckiego. Zna dobrze Komendanta i braci legionową ludność Dobrej, Chyżówek, Jórkowa, Kamienistej, Łacka czy Stopnicy Królewskiej, nie mówiąc już o Limanowej, Nowym Sączu i Marcinkowicach, gdzie prawdziwy chrzest przeszli Piłsudskiego strzelcy. Przez długi szereg dni toczyły się tam walki z Moskalami, w których Legioniści dokazywali cudów waleczności, mimo nader lichego uzbrojenia. Wszak niełatwo wyjść z takiej matni, w jakiej znaleźli się na wstępie bitwy marcinkowickiej ułani Beliny, którzy w sto kilkadziesiąt koni ruszyli z Marcinkowic, by zamiast zagarnięcia spodziewanych taborów, spotkać się z rosyjską artylerią i pod gradem kul przechodzić po tym wpływ rzekę Dunajec. A wyszli przecie i tylko kilku zginęło. Nie łatwo bić się tak, jak się bili Legioniści pod Marcinkowcami.

Garść szaleńców, między którymi nie brakło Podhalan, pod wodzą Komendanta, stoczyła tam w dniu 6 grudnia 1914 roku nadludzki, szesnaście godzin trwający bój. I nad sześciokroć przeważającą siłą wroga ta garść odniosła bohaterskie zwycięstwo.

Boje pod Limanową i Marcinkowcami były wstępem do owej epopei podhalańskiej, której plan Komendant miał przygotowany na ostateczną chwilę. W razie niepowodzeń i silnego natarcia Moskali, Piłsudski miał się cofnąć do Nowego Targu. Tak mówi o tym w książce p. t. „Moje pierwsze boje”:

— — — — —

„Jeżeli istotnie Austriacy czują się tak pobici, że się cofają tak szalenie szybko jak gdyby za kilka dni bronić chcieli Moraw i Czech, to nieprzyjacieli musi minąć całą Galicję. I wtedy trudno dostępne górskie okolice dadzą możliwość trzymania się dłużej niż gdzieindziej. Górale pewno pomogą... Gdy już hekatomba ma być złożona, to będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczną, bo samodzielną, ba, będzie bardziej sceniczną.“

— — — — —

„Użyłem więc wszystkich możliwych wybiegów, aby zostać na Podhalu, gdzie według swego zasadniczego planu chciałem umrzeć ze swoim oddziałem, broniąc zarówno honoru żołnierza polskiego, jak i ostatniej piędi ziemi polskiej przed najazdem.“

— — — — —

„Choć warunki, w których walczyliśmy, były miłe, nie mogłem się pozbyć swych pesymistycznych myśli i dlatego ani przez chwilę w owe czasy nie zapomniałem o swym zasadniczym planie cofnięcia się przy dalszych niepowodzeniach do Nowego Targu. Tam byłem zdecydowany podnieść do wojny górali, prowadzić akcję zaczepno-odporną, a w ostateczności skończyć nasz los jakąś uwieczniającą strzelców hekatombą.“

„Warunki wojny na Podhalu okazały się i pod innym względem nadzwyczaj przyjemne. Mówię tu o stosunkach z ludnością. Nie było tu jak w Królestwie, gwałtownego i najczęściej daremnego szukania oparcia i zrozumienia wśród ludności cywilnej. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko czego dusza żołnierza walczącego dla szczęścia Ojczyzny pragnie, było mu dane. Tu czułem się w Ojczyźnie, czułem się potrzebnym dla niej jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski, czy jego gaździna, mieszczanin czy robotnik, wszyscy szukali poprostu okazji, aby w czymkolwiek dopomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas. Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano, musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W żadnej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo, że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Zywo pamiętam jeden wypadek w zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stanąłem kwaterą w chacie góralskiej, która jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę zamkniętą — czystą, drugą codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta i temu podobne pożyteczne, lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna wysoka o kształtnych ryśach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była poprostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często, proponując to i owo, po tym przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziemi, by zapytać raz jeszcze czy nie trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drew do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc nuzyla mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność. Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu gaździna płakała rzewnymi łzami, patrząc swymi melancholijnymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi:

„Biedne wy, wojoki polskie! Tego płacze!“

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej Podhalanki czuję szczerą wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie Ojczyzny, które tam miałem.“

„Opowiadano mi o zabawnym epizodzie, gdy chytry góral wyprowadził w pole prostodusznych braci z nad Wołgi. Góral ukrył u siebie jednego z rannych moich chłopców i położył go u siebie w chacie. Gdy nadeszli Moskale i chcieli wejść do chaty, zawołał na nich: „Ostrożnie, tam leży

człowiek chory na cholera!” Otworzyli tylko drzwi i, zobaczywszy istotnie chorego na łóżku, uciekli. Do tej „cholerycznej” chaty zakazano po tym chodzić, izolowano ją, pozostawiając rannemu swobodę. Jeszcze jeden dowód serdecznego do nas stosunku Podhalan!”

„I mnie niedługo tak zagracie”...

Wspomnienie w rocznicę zgonu Władysława Orkana

Było to w Krakowie w styczniu albo w lutym 1930 roku. Na „Wieczornicę Podhalańską” zorganizowaną przez Akademicki Związek Podhalan zjechało ludzi moc. Nowoczesne tańce uprawiano w dużej sali „Sokoła”, natomiast w małej salce przygrywała muzyka góralska z Białego Dunajca. Tam też zasiedli co przedniejsi gazdowie Podhala: Andrzej Stopka, Jakub Zachemski, Feliks Gwiżdż, ks. prof. Kaczmarczyk i wielu innych.

Był między nimi i Władysław Orkan, ale jakoś dziwnie zatroskany. Mimo, że był to przecież wieczór wesoły, na twarzy Orkana widać było przez cały czas wyraźny i głęboki smutek. Prawda — smutek towarzyszył Orkanowi przez całe życie, ale tak smutnym widziałem go wtedy po raz pierwszy. To odsunęło ode mnie całą radość podhalańskiego wieczoru.

Po jakiejś chwili, kiedy w salce zrobiło się już bardziej przestrono, Orkan dał mi znak, bym usiadł koło niego. Czulem, że nie będę mógł kleić jakiej takiej z Orkanem rozmowy.

— Czemuż to pan taki nie swój? zwraca się do mnie Orkan.

Dałem jakąś zdawkową, wymijającą odpowiedź. Po chwili powiada:

— Niech pan zatańczy po góralsku, bo jakoś tu zimno...

Jakkolwiek muzyka góralska zawsze mi nogi podrywa, to jednak wtedy na taniec zdobyć się nie mogłem. Zatańczył ktoś inny, któryś z górali przybyłych z Podhala. Orkan patrzył na tańczącego, zwracał uwagę na poszczególne elementy tańca, ale widziałem, że wrażenie „zimna”, jakie odczuwał, nie ustępowało.

Po tańcu zgwarzyliśmy się z muzykantami. Orkan znał dobrze ich ojca, oni znów żywili najgłębszą cześć dla władnego Gazdy z Poręby Wielkiej.

— Jakże tam Franuś, niby wasz ociec? — zwraca się do muzykantów — zagrajcież mi jego nutę.

Muzykowie spojrzeli po sobie, poruszyli sprzętem, któryś z nich dotknął smyczkiem struny, a wtedy Jasiak Para najstarszy syn powiada przez ły:

— He, miły mocny Boze, dyć już trzy tyżnie, jako nom Ociec pomine ni...

— Co?! Franek umarł? Cóż to było?

Zaczęli opowiadać, wzruszeni do głębinie, że mogą się z Orkanem smut-

kiem swym podzielić. Wreszcie Orkan każe grać „Kie Janicka wiedli“... Zadręgały struny, zapłakały rzewną nutą gęśle, tak rzewną, jaką się rzadko słyszy. I w pierwszej chwili nawet nie zauważyłem, że Orkan odszedł na bok i że tam rzewne łzy spłynęły po jego licach.

— I mnie niedługo tak zagracie — powiada po chwili Orkan — ale nie w tem rzecz... Dziś sie trza radować, bośmy tu po to przyjechali.

Zagrali chłopcy wierchową, Orkanową nutę, ale to radowanie się nie było już takie, jakie nieraz z Orkanem bywało. Jakieś przecucie — smutek błędziło cały czas pomiędzy nami i od czasu do czasu tręcało w struny gęśli...

Na drugi dzień spotkałem się z Orkanem i gwarzyliśmy ze dwie godziny o naskich sprawach. Nie był już taki smutny, jak poprzedniego wieczora, próbował nawet wesolej nuty, ale to już nie był ten Orkan, co dawniej.

— Widzi pan, panie Jantku, niedawno robiliście mi jubileusz. Każdy jubileusz to rozgłośne dzwonięcie, a zarzem trumna...

*
W r. 1930 Warszawa przyznała nagrodę literacką Władysławowi Orkanowi. Uroczyste jej wręczenie miało się odbyć w maju. Warszawskie Ogńisko Związku Podhalan przygotowywało się rzetelnie do tej uroczystości. Chcieliśmy Orkana przyjąć w stolicy godnie, po gazdowsku. W pierwszych dniach maja wyjechałem na urlop na Podhale i po drodze miałem wstąpić do Krakowa, by Orkanowi góralskie zaproszenie wręczyć. W domu przy ulicy Brackiej, gdzie Orkan wówczas się zatrzymywał, za stałem tylko P. Orkanową.

— Tak a tak — powiadam — przychodzę tu z radosnym zaproszeniem.

— Franek jeszcze w Porębie, ale wie, że pan ma jechać na Podhale i oczekuje pana w domu. Niech się pan w najbliższych dniach do niego wybierze, do Poręby. Zepsujemy panu urlop, bo Franek chce, żeby pan koniecznie jechał z nami do Warszawy.

A więc do Poręby. Ale przed tym zajeżdżam jeszcze do rodzinnego Odrowęża. Po kilku dniach w drodze do Poręby otrzymuję w Czarnym Dunajcu depezę, by do Poręby nie jechać, bo Orkan wyjechał do Krakowa i stamtąd dostanę wiadomość, co dalej. Istotnie 14 maja otrzymałem wiadomość krótką:

Dziś umarł tu Orkan — pogrzeb w Krakowie.

Pojechaliśmy z białodunajecką muzyką. Wspominaliśmy w drodze ów wieczór zabawowy. Przypomniały nam się Orkanowe słowa: „I mnie niedługo tak zagracie“... Minęły od tego czasu trzy miesiące. Przecucie — smutek spełniło się.

Tym razem zastałem już Orkana w domu przy ul. Brackiej. Spał spokojnie po trudach ciernistego żywota. W pokoju nie było nikogo. Klęczałem chwilę przy trumnie, po czym poszedłem do drugiego pokoju, gdzie P. Orkanowa opowiadała mi o ostatnich Jego chwilach, rzucając co chwila pytanie: Jakże się to mogło stać?...

I zagrali muzycy białodunajscy nutę, jaką chciał sam Orkan, najpierw przed domem przy ul. Brackiej, a potem na cmentarzu krakowskim. Nie przypuszczali jednak, że ją tak prędko będą musieli zagrać...

Antoni Zachemski.

Z przeszłości Białego Dunajca

Pierwszą wiadomość o istnieniu Białego Dunajca spotykamy w lustracji starostwa nowotarskiego z r. 1564. Powiedziano tam, że nad rzeką, która z polskich Tatr wypływa, osiadło na stałe 6 gazdów. W kilkanaście lat później, mianowicie w r. 1579 otrzymuje niejaki Jędrzej, syn Pawlika z Szaflar, przywilej od ówczesnego dzierżawcy nowotarskiego Pieniązka na sołectwo w Białym Dunajcu. Ów Jędrzej jest założycielem sołtysiego rodu, który przyjął z biegiem czasu nazwisko Pawlikowskich. Tytułem wynagrodzenia za pełnienie odpowiedzialnego urzędu sołtysa otrzymał Jędrzej oraz jego potomkowie jeden łan ziemi, młyn o jednym kole, wyszynk piwa, prawo łowienia ryb i polowania, nadto pastwiska nad rzeką Porońcem.

Z dalszych dokumentów widać, że następcy Jędreja położyli zasługi w wyprawach wojennych przeciw Turkom, wobec czego zachowano ich na urzędzie i powiększono majątek, zwłaszcza tereny pastwiskowe pod Tatrami. Przywileje wymieniają jako ich własność: Jaworzynę, Ciche, Poronin, Zgorzelisko, wyżne szalasy, z prawem osadzania ludzi i wyrabiania polan. Widać z powyższego, że Biały Dunajec obejmował nie tylko obszar dzisiejszej gromady, ale rozciągał się faktycznie aż pod Tatry, ponieważ nie było wtedy żadnej innej osady na miejscu obecnego Poronina, Murzasichla, Olczy lub Zakopanego. Jedynie tu i ówdzie bardziej skrzętni i zapobiegliwi gazdowie wyrabiali sobie polany i krzątali się koło starostów lub

chodzili nawet do królów z prośbą o zatwierdzenie posiadania owych wyrobisk. O ile chodzi o polany Pawlikowskich, to widoczną oznaką ich działalności osadniczej pod Tatrami jest niewielka osada Ciche, zwane Małym Cichem, które powstało na obszarze pastwiskowym i przypadło w udziale jednej gałęzi tego rodu spokrewnionej z Zegleniami, tak że do ostatnich niemal lat osada składała się z członków tych dwu rodów. Należy podkreślić przy tej sposobności, że Małe Ciche jest niewątpliwie unikatem pod względem administracyjnym: należy do gromady białodunajeckiej, jakkolwiek przedziela je Poronin i Murzasichle, pod względem kościelnym do Poronina, szkołę posiada w Murzasichlu a katastralnie należy do gminy Bukowiny. Ponieważ osada rozrasta się dosyć szybko a leży przy niedokończonej trasie Poronin — Morskie Oko, należałoby skończyć z tak pogmatwanym systemem administracyjnym i usamodzielnic ją jako gromadę, zwłaszcza że liczy dostateczną ilość mieszkańców, aby mieć swój zarząd i własną szkołę na miejscu.

Wracając do Białego Dunajca, zajmujemy się obecnie tymi rodami, które najwcześniej a więc od najdawniejszych czasów tam siedziały i częściowo dotąd jeszcze siedzą. Wedle dzisiejszych wykazów mamy w B. Dunajcu 150 nazwisk gazdowskich. Z tej liczby 60 należy do starych rodów, a 90 do nowszych, które przybyły z innych wsi lub okolic. Mamy zatem 40 proc. dawnego stanu zaludnienia, biorąc pod uwagę liczbę nazwisk a nie

liczbę głów ludności. Wykazy rodów oparte są na metrykach chrztu i ślubów z lat 1620 — 1700 przechowywanych w Szaflarach oraz w N. Targu. Ponieważ brak wcześniejszych zapisów, przyjmujemy jako pewnik, że szereg rodów gazdowskich, istniejących koło r. 1620 siedział w B. Dunajcu dawniej, zwłaszcza zaś te, które pozostawiły ślady w nazwach ról.

Oto wykaz tych najstarszych z podaniem daty wystąpienia w księgach:

Bałoz 1620, Bustrycki 1641, Buzek 1620, Chowaniec 1642, Cudzych 1680, Czernik 1639, Dańko 1639, Duda 1680, Dzierżęga 1620, Floryn 1620, Furtak 1620, Galica 1632, Gawlak 1620, Gil 1620, Graca 1631, Jagoda 1620, Janiak 1684, Jarząbek 1640, Jędral 1698, Jórasz 1666, Kulach 1642, Kuna 1663, Kurtek 1621, Lichaj 1686, Łukaszczyk 1685, Maciata 1621, Małkuch 1670, Marduła 1632, Matyga 1680, Orawiec 1641, Palider 1662, Pańszczyk 1621, Papiież 1635, Pawlikowski 1579, Rząd-kosz 1638, Sądelski 1685, Saguła 1686, Sieczka 1631, Sikon 1631, Sypos 1640, Skowysa 1621, Skupień 1638, Ślimak 1620, Stachoń 1635, Stachowiec 1675, Stanek 1686, Stolarski 1708, Strączek 1620, Strama 1693, Świder 1620, Szostak 1620, Tatar 1638, Topór 1636, Walkosz 1684, Wojdyła 1707, Zoń 1676, Zwijacz 1647, Zegleń 1697.

Prócz tych rodów istniejących, mamy cały szereg nazwisk, które znikły zupełnie lub też pamięć o nich przechowała się częściowa w przezwiskach, nazwach pól, domów, lasów i td. Do takich należą:

Adamuziak, Baliga, Bartusiak, Bednarz, Berecina, Biedak, Bizon, Błęka, Bochunek, Bordyga, Brzana, Brzęk, Brzewowski, Budzisz, Budzyk, Buńda, Byczydło, Capek, Cetera, Chalupiak, Cholewa, Chlipała, Chrepta, Cipka, Dlubacz, Dobosz, Dzielski, Dzierżak, Dziopa, Dziugan, Fornal, Fortunka, Gabor, Gadowski, Galik, Garncarz, Gaska, Gawron, Gębala, Głudek, Gordon, Grządziel, Gut, Gwiżdż, Haber, Haza, Hobot, Jacina, Jackowiec, Jambrych, Janica, Janosik, Jarek, Jasionek, Jarosz, Jędrysiak, Jedynak, Jucha, Kadzimek, Kania, Kapalka, Karbaniak, Karkoszka, Karpień, Katryniak, Kaźmierczak, Kępa, Knap, Kocur, Kopeć, Kośla, Kotarba, Kowal, Kubic, Kubin, Kudła, Lach, Litwin, Łysopał, Macias, Madoń, Magdziarz, Magiera, Majchrzak, Malacina, Matlak, Miętus, Mikoś, Moskowita, Mrozek, Niedośpiał, Niwiak, Oborniak, Oczko, Pałka, Parzygać, Piętka, Pietrzak, Powidło, Powrona, Prorok, Pstrąg, Ptaś, Pudło, Pytel, Rabenda, Rubasik, Rumun, Sabulak, Siuta, Skowron, Skubisz, Sliwa, Śliz, Słowiak, Smalec, Smoła, Sobala, Stacherczak, Strachota, Stryk, Suchta, Suski, Surowiec, Swajnos, Szafranek, Szczęchowicz, Szczurek, Szelażek, Szerszeń, Szewczyk, Szyszka, Takuński, Tomalak, Turek, Waksmundzki, Walach, Waniczek, Warzuch, Wirek, Wojtusiak, Wrona, Wrzask, Wyrwa, Zajęc, Zaleński, Zawada.

W ten sposób wyczerpalibyśmy nasze wiadomości o dawnych gazdach białodunajeckich. Oczywiście można jeszcze o nich sporo powiedzieć, skąd

przybywali, dokąd się przenosili itd. ale te sprawy nie należą do popularnego artykułu o przeszłości Białego Dunajca. O ile w przyszłości uda się zebrać potrzebny materiał z innych stron Podhala, wtedy można będzie

przedstawić historię wszystkich rodów góralskich, wtedy też można będzie odpowiedzieć na najważniejsze pytanie, skąd jesteśmy i cośmy za jedni.

Dr. L. Wyrostek.

Byłoby dobrze, kieby nie było źle Kłopoty i troski Ziemi Żywieckiej

Życie człowieka dostosowane jest do warunków, wśród jakich on żyje.

Nie do pomyslenia byłoby, ażeby Kaszuba, co ryby łowi i żyje z rybołówstwa uważać za górala, co całe życie spędza na hali i wypasa owce i oczywiście kaszub czułby się nieswojo w górach, jak góral na wodach morskich. Kaszub czułby się zamknięty pośród gór i ciasno byłoby mu żyć w ich otoczeniu, samotny czułby się góral, gdyby wzrok jego nie mógł spocząć na otaczających go, wysoko się wspinających szczytach górskich, dumnie wzbijających się w górę jednolickich, smrekach, sterczących i wysoko w niebo wzbijających się skalistych wierchach.

Energiczny i zwinny jest góral, choć żyje na skale i urwisku i daje sobie prędzej radę, jak mieszkaniac nizin, który ma do uprawy czarnoziem i lepsze warunki pracy; nie narzeka on, bo żyty jest z biedą i zdany od wieków na samego siebie.

Podczas wojny światowej mieli możność górale poznać inne kraje, lepsze i gorsze warunki życia, inną strukturę rolną, dogodniejsze warunki gospodarcze, kulturalne i oświatowe; zaczęto też tu i ówdzie radzić nad poprawą bytu górali. Wymaga zaś te-

go wielki rozrost ludności górskiej, a w związku z tym brak ziemi, z którejby ta ludność góraska czerpała dochody na swoje utrzymanie, licha i mało wydajna gleba ponagla do szybkiego rozwiązania tych zagadnień.

I jeżeli nie można dołożyć kawałka gruntu temu obywatelowi, który zaludnia te Beskidy, to trzeba koniecznie dać mu inne źródło zarobkowania, dać mu możność chociaż skromnej egzystencji, trzeba do niego podejść, dać mu ten warsztat pracy do ręki, bo sam często nie jest już w możności go zdobyć.

Powiat żywiecki, o którym tu mówię zajmuje obszar 115.271 ha, z czego na lasy wielkiej własności przypada 37.823 ha, gminnych i ekwiwalentowych 2.084 ha, na drobne własności (chłopskie) 5.447 ha, na nieużytki 2.565 ha. Ogólny zaś obszar bez nieużytków wynosi: w rękach wielkiej własności 45.873 ha, w rękach drobnej własności 66.853 ha.—

Powiat ma 139.000 mieszkańców. Wypada więc na 1 klm² przeszło 200 ludzi. Obszar wielkiej własności wynosi 44% obszaru w powiecie, a zaludnienie nie spełna 1%, w dodatku grunta uprawne wielkiej własności położone są nie wyżej jak 300 — 400 m.

n. p. m. koło dogodnych tras drogowych i kolei. Grunta chłopskie rozłożone są po stokach górskich do 700 i wyżej m. n. p. m. rozdrobnione zwykle na kilkadziesiąt kawałków drobnych i spółnoty, gdzie gdy dobry roczek wykopie się trochę marnych zimnioków, uscyko sie po gronicku marnego owieska (zwanego psiną) porę gorstek rzodziutki krzyce, żeby łąć na jaki taki placusek było, do tego jaki taki krzocusek kapusty zakisi sie na zime i jest wywłocka, ale nie na długo, mało takich, co dociągną do przednowku, bo przednowek to u wszystkich, większa część ledwie do Gód, a po tym zmiłuj sie, musi sie sukac kawolka chleba, dło siebie i dzieciaków, żeby jako tako tą zimę i do nowego przetrzymać i tak w koło. Ale jak trafi sie rok niekorzystny jak poprzedni, kiedy cała jesień była mokra i ciągle deszcze nie pozwoliły zebrać tej marnoty, w dodatku nadeszły śniegi i mrozy do reszty zasywały zimnioki, to całoroczna praca poszła na marne i górole sami nie wiedzą, kany po co i do kogo sie udać, radzą po chałpak, co ka pocąć, czego sie chycić, żeby przetrzymać i ni ma rady i nima nijakigo hytu kany w którą stronę sie giąć.

I tu są pewne kategorie ludności, które mają swój sposób zarobkowania; w dolinie rzeki Koszarawy rozwija się wiejski przemysł chałupniczy; pracuje tam 300 zabawkarzy, którzy wyrabiają bryczki z parą koni i źrebięciem, karuzele na kołach, które jazdą wprowadzają w ruch cały labirynt świata tajemniczego, koguty co trzepocą skrzydłami i t. p. 7 stolarzy, 3 kołodziei; w Lachowicach 5 zabawkarzy, 2 kołodziei i tkacz, w Stryszawie

— 50 bednarzy, 3 kołodziei, 3 tkaczy, 5 stolarzy. Tu wykonują mistrzowsko ładne ptaszki, które podziwiała zagranica na wystawie przemysłu domowego w Krakowie. W Kukowie pracuje 20 koszykarzy, 5 bednarzy, 2 tkaczy, w Zadzielu 70 koszykarzy, którzy przed wojną masowo eksportowali swoje wyroby przez Tryjest za granicę, w Sopotni malej robią masowo styliska do łopat i kilofów. Prawie we wszystkich wioskach robią zimą sukna wałaskie, a wiosną walcują w jedynej walcowni sukna góralskiego, bardzo oryginalnym starym systemem, do dziś zachowanej i czynnej w Lipowej. W Radziechowach jest jeszcze warsztat do lnianego płótna, a w ostatnich latach jedynie Radziechowy produkują oryginalne pasy góralskie i szyją portki wałaskie i gunie, w Miłowce dobrze rozwinięty jest domowy wyrób szpilek masarskich, mający zbyt do sąsiedniego centrum przemysłu Białej: — Bielska i Górnego Śląska; sam Żywiec wyrabia ładne hafty, które są bardzo cenione i zdobywają sobie pierwsze miejsce nie tylko na rynkach krajowych, ale i zagranicznych, jest również czynnych kilka garbarni, które zaspakajają miejscowe zapotrzebowanie kierpcy i kozuchów.

Przemysł domowy niezorganizowany i zależny w zupełności od kapitału obcego, który dyktuje ceny dowolne wykorzystując nieświadomego producenta.

Znani są w Polsce domokrażni sprzedawcy zabawek koszarawskich i wyrobów drzewnych, t. zw. miarekorce, lub bryckorce, — to poprostu chodząca nędza, która raczej ujmę, a nie reklamę temu przemysłowi przynosi.

To jest jedna kategoria ludności, której konieczna jest pomoc fachowa i finansowa. Przede wszystkim trzeba koniecznie przemysł ten zorganizować i ująć eksport w swoje ręce, pomoc mogą nasi górale w miastach osiedli, a przy dobrym zorganizowaniu warsztatu pracy znajdą się i pieniądze, które dopomogą do rozwoju przemysłu i dadzą ludności dobrą i pewną egzystencję.

Druga kategoria to ta, która masowo emigrowała za granicę do Niemiec, Ameryki, częściowo i Węgier. Ludność ta, osiadła blisko — kolei Zwardoń — Biała — Bielsko, mając łatwy dostęp do pracy w fabrykach i dobre zarobki, nie troszczyła się o grunt, którego i tak niema, nie myślała o przemyśle domowym, bo nie był jej potrzebny, zdała się zupełnie na zarobki w fabrykach, zabezpieczone szeroko rozbudowanymi ustawami.

Rosnące z dnia na dzień bezrobocie, wydalanie z pracy, zdało na łaskę i niełaskę Komitetów Bezrobocia, następnie Funduszu Pracy te masy dziś bezrobotnych. Bezradne, nie przygotowane do życia samodzielnego czekają one na „fasunki“, wystając całymi dniami pod drzwiami biur, czekając na kolejkę, kiedy i w jakiej partii dostaną się do pracy.

Nawet w tych, prawie już robotniczo-miejskich wsiach daje się zauważyć w ostatnich czasach charakterystyczny zwrot. I tu zaczyna się wyciągać ze strychu stare gunie i portki wałaski, które jednak przekonywują o swej praktyczności i rentowności. Bywało, że gdy ktoś wyciągnął starą gunię i ubrał się w portki wałaskie

a przeszedł się przez wieś, to patrzyli na niego przez okna, wbijali w ramę całą masę głów i chichotali, a poza domem wyglądali z poza węgła, czy czasem nie wariat, albo jaki „insy ciechmon, coby kany co na parod nie zrobił“, — ale dzisiaj inaczej, wielkie usanowanie mają portki i gunia, jyno ze nie kazdy moze se ik nabyć.

Ej kieby jo miał piniondze, jak nimom, zarozbykse to kupił, ale coż nima skond wzionć i nima ka zarobić, jak sie poprawi na świecie, to i nom bydzie lepij.

Naogół garną się nasi żywieccy chłopci do oświaty, prowadzą wzorowe gospodarstwa rolne, zespoły konkursowe, zjeżdżają instruktorowie rolni, nawet z Izby Rolniczej inżynierowie robią wielkie zebrania gazdów i gospodyń. Biorą się gazdowie i gospodynie do roboty, zakładają inspekta, ogródki warzywne, cieszą się, obliczają zyski, jakie mają im dać skromne kawalki uprawionych warzyw, zapewniając egzystencję życiową. Wielkich obszarów uprawiać nie mogą, bo te są porozrzucane szachownicą na przestrzeni 3 klm., dlatego też bliżej domostw położone kawalki uprawione pielęgnują, nawożą, dają co najlepszego jak najmilszemu rodzonemu dziecku, i wreszcie upragniony zbiór. Jesień czasem trochę złośliwa, przysłowiowe od „Świętej Hanki chłodne poranki“ ani na piędź nie chcą ustąpić od swej zasady, w dodatku ukochane deszcze całymi dniami — i warzywa nie mogą dojrzeć, cebula gnije, marchewka parszywa i skarłowaciała, stoczona robactwem, kapustę gąsienice zjadły, trochę pomidorów uchronione

przed zgniciem dojrzało na sznurkach, ale cena po 10 gr. za 1 kg. według Warszawy, i znowu rozpacz. Całoroczna robota zmarnowana, nie ma odpowiedniej gleby i klimatu na uprawy warzyw, nasza góraska okolica nie wytrzyma konkurencji podmiejskich warzywników, produkujących masowo na dogodniejszych nizinnych glebach i lepszych warunkach. I tu znowu obserwujemy zwrot, nie można stosować racjonalnej gospodarki, nie można dostosować maszyn rolniczych dla usprawnienia uprawy roli i zaoszczędzenia ziarna przy siewie, trzeba gruntu koniecznie scalić, przeprowadzić komasację, bo ta tylko może rolnictwo uratować i dać możliwość racjonalnej gospodarki rolnej. Przeprowadza się więc komasację jednej wioski, drugiej, ale i tu pewne obawy, bo po scaleniu wypadną działki małe, ćwierć, pół, jedno, a rzadko gdzie więcej morgowe, a szczególnie brak takich, które miałyby charakter samodzielności; na takiej działce wystawi chałpinę, a wokoło otoczenie sąsiedzkie i znowu ten sam kłopot z uszkodzonymi.

Dobra to rada — osadnictwo na Pomorzu, ale ten, co ma większy kawałek gruntu i może zdobyć potrzebną gotówkę na zagospodarowanie, nie ruszy się ze swoich śmieci, a ten, który chciałby iść i którego zmusza konieczność, nie ma potrzebnej gotówki i nie ma co spieniężyć, ażeby ją zdobyć. Wygląda to na labirynt bez wyjścia, z którego sprytny i zwinny góral powinien wybrnąć, ma przecież cuda

natury, to piękno gór, hale, urwiska, grube, drobne, rzadkie i gęste lasy, dla chcących zaczerpnąć powietrza, świeżej wody, rozkoszować się widokiem okolicy i pragnących wrażeń, ale oprócz tego trzeba zorganizować odpowiednie pomieszczenie, dać możliwe utrzymanie, udostępnić najładniejsze okolice nowoczesną komunikacją; tu jest możliwość i wdzięczne pole działania nawet bez gruntu, można zebrać plon i na skale, ale i tu potrzeba pieniędzy, a tych górale nie mają, powiadają se „zeby były dudki, nie byłyby smutki“.

Przyzwyczajeni zadzierać głowę do góry, nie zmieniają taktyki, patrzą na usadowiony na górze „Związek Ziemi Górskich“ pod przemożnym kierownictwem Min. Gen. Kasprzyckiego, przekonani, że woda z źródeł górskich sączy się kropla po kropli, a czasem zbiera w ulewę i tocząc się w dolinę huczy groźnie, nie obawiając się żadnych napotkanych po drodze przeciwności, że i dla nich z wielkim szumem nadejdą lepsze czasy i góral spokojny o chleb powszedni, będzie mógł nadal z zadowoleniem spełniać wierną straż jako obywatel ukochanej Rzeczypospolitej.

Radziechowy 1937.

Władysław Pieronek,

*Prezes Ogniska Związku
Podhalań.*

Matica Sloveńska

Gdy w drugiej połowie XIX w. życie kulturalne Słowacji przybierać zaczęło coraz żywsze tętno, najwybitniejsi działacze słowaccy postanowili założyć stowarzyszenie, któreby ogniskowało całą działalność oświatową, kulturalną i naukową. Założono wówczas, w 1863 r. „Maticę Slovenską“ (Macierz Słowacką) której prezesem został biskup Moyses z Bańskiej Bystrzycy, a wiceprezesem znaną poeta Kuzmany.

Przez lat 12 rozwijała Matica swą pożyteczną działalność, wydawała czasopisma, organizowała życie kulturalne. Jej działalność nie była jednak w smak Węgrom, pod panowaniem których znajdowali się wtedy Słowacy. W r. 1875 rząd węgierski zamknął Maticę.

Zaledwie jednak Słowacy zbudzili się do nowego życia, w r. 1920 wznowiona została „Matica Slovenska“. Przyświecała jej znów ta sama idea ześrodkowania i zogniskowania wszystkich słowackich poczynań kulturalnych. Przez te 18 lat dokonała też Matica potężnego wysiłku. Cały kraj pokryty został siecią oddziałów miejscowych Maticy. Wznowiono pożyteczne wydawnictwa naukowe („Sbornik Maticy Slovenskej“) i literackie („Slovenske Pohľady“). Przedsięwzięto szereg doniosłych prac naukowych, przygotowywano zasady reformy pisowni. Atoli kierownictwo sekcji językowej dostało się czeskiemu uczonemu prof. Važnemu, który te prawidła ułożył w taki sposób, żeby nadać podobieństwo mowy sło-

wackiej do czeskiej. Wywołało to duże poruszenie w Słowacji i na walnym zebraniu w maju 1932 r. sekcja językoznawcza musiała ustąpić i niefortunne prawidła językowe wycofano.

Od tego czasu, od maja 1932 r. rozwój „Maticy Slovenskej“ szybkim krokiem podążył naprzód. Ilość członków w krótkim czasie powiększyła się do 30.000. Wciągnięto do pracy szereg młodych sił: dr. A. Mraza, który został redaktorem „Slovenských Pohľadov“, młodego językoznawcę L. Nováka, pisarza chłopskiego Hroňského, który został sekretarzem generalnym. Zrealizowano kilka wspaniałych filmów etnograficznych doskonałego fotografa słowackiego K. Pliczki, ilustrujących całe bogactwo kultury ludowej i stroju słowackiego („W górach i w dolinach“, „Ziemia Śpiewa“).

Działalności swojej nieograniczono tylko do Słowacji ale rozszerzono ją i na Słowaków żyjących w Ameryce. Delegacja Maticy udała się w lecie zeszłego roku do Stanów Zjednoczonych, gdzie nawiązała kontakt z licznymi ośrodkami emigrantów słowackich.

W tym roku powtórnie pewne czynniki nie godzące się na narodo-słowacką linię „Maticy“ usiłowały znów wyrzec wpływ i dostać się do władz, atoli dzięki jednolitej postawie ogółu członków zamierzenia ich spaliły na panewce. Walne zgromadzenie odbyte w dniu 1 maja wy-

kazało, że „Matica“ kroczyć będzie dalej tę samą drogą.

Ze sprawozdania złożonego na zebraniu widać wszechstronną i szeroką działalność Towarzystwa. Pracuje wydatnie szereg sekcji: historyczna, literacka, artystyczna, językoznawcza. Wydano szereg pieśni ludowych, fotografii, przystąpiono do wydawania popularnego miesięcznika „Slovensko“, który redaguje młody krytyk literacki, znawca literatury polskiej St. Mecziar. Wyprawa „Maticy“ do Ameryki sfilmowała tam film z życia amerykańskich Słowaków „Ze Słowakami od Nowego Jorku po Missisipi“. Sekcja historyczna przygotowuje

opracowanie dziejów powstania słowackiego w r. 1848. Szykuje się wydanie słowackich melodyj ludowych.

Łącznie z Maticą, we wspólnym gmachu w Turczańskim Świętym Marcinie pozostaje szereg organizacji i instytucyj. A więc „Ziwena“, związek organizacji kobiecych, związek słowackich chórów („Spevokol'ów“) i związek słowackich teatrów amatorskich i ludowych. Związek ten urządza corocznie konkursy, przy czym poszczególne nagrodzone zespoły miejscowe występują z nagrodzoną sztuką w teatrze bratysławskim.

J. R.

Z „Posiadów podhalańskich“

Od jesieni ubiegłego roku pełni w Warszawie służbę batalion strzelców podhalańskich. Między batalionem a Ogniskiem Związku Podhalan w Warszawie ułożyła się od początku bardzo serdeczna współpraca. Prawie na wszystkich imprezach urządzanych przez Ognisko występowała delegacja strzelców wraz ze swą wspólną muzyką kobziarzy.

Dnia 2 b. m. Warszawskie Ognisko zorganizowało t. zw. „Posiady podhalańskie“, z okazji odejścia strzelców podhalańskich z Warszawy. Wieczór ten urządzony w salach reprezentacyjnych Kasyna Oficerskiego udał się całkowicie. Ludzi przyszło sporo. U wejścia do sal stała muzyka batalionowa, witając nutą podhalańską co przedniejszych gazdów.

W pewnej chwili wszyscy uczestnicy zebrali się w półkolu na dużej sali. Z jednej strony stanęła delegacja batalionu z dowódcą, z drugiej władze Ogniska. Muzyka zagrała marsza podhalańskiego, po czym prezes Zarządu Głównego Feliks Gwiżdż zabrał głos i w kilku słowach dał wyraz radości, że strzelcy podhalańscy umieli sobie w stolicy zdobyć pełne uznanie i dużą sympatię całej ludności.

— Wyście nie chodzili na wartę — mówił — wyście się zawsze z dumą nieśli...

Następnie zabrał głos prezes Ogniska Warszawskiego dr. Stan. Kawczak, który przypomniał, że wielu z pośród obecnych pełniło służbę w pułkach podhalańskich i że ta łącz-

ność między strzelcami a Ogniskiem jest całkiem naturalna i szczerą.

W pięknych słowach odpowiedział na te przemówienia dowódca batalionu mjr. Głowacki, dziękując Ognisku za ten serdeczny stosunek do chłopców, służących w batalionie.

Na zakończenie przemówił jeszcze red. A. Zachemski, mówiąc o pięknym symbolu orlego piórka, po czym orkiestra odegrała znów nuty góralskie.

Miłą dla wszystkich niespodzianką był występ Ogniskowej muzyki góralskiej. Prym na gęślach wiodła Helena Zachemska, a dzielnie jej pomagał strzelec Kluska z Działu. Muzy-

ka ta, jak i batalionowa, zbierała rzesiste i zasłużone oklaski.

„Posiady“ przeciągnęły się w miłym nastroju do późnych godzin. Nuta podhalańska górowała nad dolatującymi z drugiej sali dźwiękami muzyki nowoczesnej, tanecznej. Podhalańskie, gdy chcą, umieją wytworzyć miłą nastrój i zadziwić nim ludzi, którzy może po raz pierwszy takiej nucie się przysłuchiwali.

Batalion ze swej strony urządził w dn. 14 b. m. wieczór świetlicowy p. t. „Górale w pieśni, muzyce i tańcu“, w czasie którego red. Zachemski wygłosił krótkie przemówienie w gwarze góralskiej do strzelców.

„Byś o wsi rodzinnej nie zapomniał“...

Już od dłuższego czasu dawała się odczuć potrzeba organizacji, która by z jednej strony zrzeszała wszystkich synów wsi rozproszonych na stanowiskach po miastach, z drugiej zaś utrzymywała łączność z młodym pokoleniem wiejskim, wychodzącym ze wsi i kształcącym się w miastach. Młodzieży tej i tak ze względu na ciężki kryzys rolnictwa nie było wiele, a ta, która była, gubiła się w środowisku miejskim, tracąc łączność ze wsią. Tym sposobem marnowało się szereg zdolności, olbrzymia, licząca 70 procent ludności Polski masa chłopska nie mogła często znaleźć swego wyzycia, a znów inteligencja miejska pozbawiona była świeżego dopływu i kostniała we własnych ramach.

Sprawę tę docenia obecny rząd, i jak wiadomo, p. premier Gen. Sławoj-Składkowski polecił gminom tworzyć stypendia dla najzdolniejszych uczniów pochodzących z ludu. Równocześnie i minister oświaty Świętosławski przez obniżkę czesnego zamierza ułatwić młodzieży chłopskiej dostęp na wyższe uczelnie. Utworzono też Instytut Kultury Wsi poświęcony naukowemu badaniu życia wiejskiego. Z pomocą winna z kolei przyjść i rozproszona dotychczas inteligencja pochodząca z ludu. W tym celu powstało w Warszawie jesienią ubiegłego roku stowarzyszenie pod nazwą „Zrzeszenie Inteligencji Ludowej i Przyjaciół Wsi“.

Zrzeszenie bez względu na przekonania polityczne grupuje ludzi

pochodzących ze wsi, a zajmujących dziś stanowiska w urzędach państwowych, samorządowych, wolnych zawodach, duchowieństwie, wojsku, celem niesienia pomocy materialnej młodzieży chłopskiej. Forma tej pomocy będzie rozmaita. Przede wszystkim formą jest stworzenie funduszu, zadaniem którego było by wspieranie w formie stypendiów najzdolniejszych uczniów ze wsi w kończeniu zakładów naukowych aż do najwyższych, umożliwienie utalentowanym dzieciom wsi kończenia akademii sztuk pięknych i różnych szkół zawodowych, zakładania dla nich burs i internatów w miastach, następnie otaczanie opieką miejsc rodzinnych, subwencjonowanie budowy domów ludowych, uniwersytetów wiejskich, teatrów i chórów włościańskich, zakupu książek dla bibliotek wiejskich, zakupu radia dla świetlic i wszystkiego, co przyczynia się do podniesienia kultury wsi.

Następnie zadaniem zrzeszenia jest staranie się, aby wychodząca ze wsi młodzież nie traciła w swej pracy zawodowej łączności ze środowiskiem wiejskim ale aby ją umacniała i również, aby inteligencja pochodząca ze wsi utrzymywała więź tak między sobą jak i ze swoim środowiskiem macierzystym wiejskim. Zrzeszenie popiera również wszelką wiejską twórczość literacką i artystyczną.

Niewątpliwie jest w Polsce dość ludzi pochodzących z ludu, którzy choć mieszkają w mieście, nie chcą zatracić łączności ze wsią; nic też dziwnego, że Zrzeszenie w krótkim czasie rozwinęło się, grupując coraz to liczniejsze rzesze i tworząc nowe ośrodki prowincjonalne i powiatowe. Rozwój stowarzyszenia jest więc dowodem tego, jak bardzo potrzeba podobnego zrzeszenia istniała w kraju. Stwarza to rękojmię dalszego powodzenia jego prac.

Z posiedzenia Zarządu Głównego Związku Podhalan

Pod przewodnictwem prezesa sen. F. Gwiżdza odbyło się w niedzielę, dnia 9 maja w Krakowie plenarne posiedzenie Zarządu Gł. Związku Podhalan. W posiedzeniu wzięli udział prezes dyr. J. Zachemski, wiceprezes prof. L. Stepka, inż. Górz, Wł. Piersonek, W. Orawiec, St. Pitoń, I. Chmielak, dr. J. Macko, mgr. J. Janota, A. Rawicki.

W ciągu kilkogodzinnych obrad poruszono szereg doniosłych zagad-

nień, związanych z bieżącymi pracami Zarządu, (sprawa Parku Narodowego Tatrzańskiego, sprawa wykonywania protokołu krakowskiego z r. 1925, dotyczącego stosunków gospodarczych na pograniczu spiskoczesko-słowackim, sprawa przemysłu ludowego, sadownictwa itd.). O sprawach tych napiszemy obszerniej w następnych numerach „Ziemi Podhalańskiej“.

OCHRONA KAPLICZEK PRZYDROŻNYCH

Krakowski Urząd Wojewódzki uznał za zabytki podlegające opiece prawa następujące kapliczki przydrożne:

1) w Szarem koło Zwardonia, w powiecie żywieckim kapliczkę p. w. Wniebowstąpienia N. M. P. (nazwa hipoteczna: kaplica „św. Wawrzyńca“), znajdującą się na terenie p. Wojciecha Kuśnierza i rodziny. Kaplica jest murowana z kamienia przydrożnego, wyprawiona z obu stron, nakryta dachem gontowym, z okapem i sygnaturką. Właściwą kapliczkę z przedsionkiem otacza obejście wsparte od frontu na narożnych ścianach kamiennych, od tyłu na pełnym murze. Wew-

nątrz kaplica posiada interesujące zabytki malarstwa i snycerstwa. Orzeczenie ochronne obejmuje całość kapliczki, jako ciekawy zabytek dawnego budownictwa wiejskiego, wraz z rosnącymi w otoczeniu drzewami.

2) w Rycerce Dolnej, w powiecie żywieckim, kapliczkę znajdującą się na gruncie pp. Franciszki z Kurowskich Ryłkowej i Józefa Ryłki. Jest to kaplica drewniana, obita gontami, kryta gontowym dachem, z głębokim okapem nad wejściem. Orzeczenie ochronne obejmuje całość kapliczki wraz z otaczającymi ją drzewami.

Prenumerujcie
czasopismo popularno językowe

„ECHO OBCOJĘZYCZNE“

wychodzące co miesiąc w 2-ch wydaniach językowych: francusko-polskim (FP) „L'ECHO FRANCO-POLONAIS“ i niemiecko-polskim (NP) „DEUTSCH—POLNISCHES ECHO“

Ciekawa treść: anegdoty, nowele, humoreski, wylmki z prasy zagranicznej, wzory listów handlowych i t.d. wraz z przekładem polskim i uwagami.—Doskonały środek pomocniczy w nauce języków, niezbędny dla każdego, znającego początki francuskiego lub niemieckiego

Prenumerata

każdego wydania językowego wynosi: rocznie 7.— zł., półrocznie 3.50 zł.

Cena n-ru 60 gr.

Roczniki 1935 po 5.50 zł., — roczniki 1936 po 6.— zł.

Prenumeratę przyjmuje się na odpowiednie pełne okresy kalendarzowe (zaleca się abonować od n-ru 1-go t. i styczniowego). Opłacający zgóry prenumeratę caloroczną (1.1.—31.XII) otrzymują premję; szczegóły w prospektach

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, WALICÓW 3. Tel. 613-40

Kartoteka rozrach. 501.

Konto P.K.O. Nr. 25.635.

Szczegółowe prospekty wysyła się bezpłatnie.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wojciecha Górskiego 6.

Prenumerata roczna wynosi 3 zł., półroczna 1 zł. 50 gr., kwartalna 75 gr.
Egzemplarz pojedynczy 25 gr. Konto P. K. O. 18883. Prenumerata na Amerykę:
roczna 1 dolar, półroczna 50 centów, kwartalna 25 centów.

Cena ogłoszeń za tekstem: cała strona 100 zł., pół strony 50 zł., ¼ strony 25 zł.,
1/8 str. 13 zł. Artykuły reklamowe (w tekście) cała strona 150 zł., pół str. 75 zł.,
¼ strony 40 zł.

Redaktor i wydawca: FELIKS GWIŹDZ.

„Drukarnia Lekarska“, Sp. z o. o., Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-73.